

praskie_audiohistorie_e30_plac_leńskiego

Anna Mizikowska: Jest już nowa książka o prawobrzeżnej Warszawie. Plac Leńskiego to opowieść o dzieciństwie i dorastaniu w centrum Pragi II, na przełomie lat 60. i 70.. Autora znacie, to Daniel Wyszogrodzki, dziennikarz muzyczny, tłumacz. Posłuchajcie naszej rozmowy o miejscach, ludziach, doświadczeniach i oczywiście o muzyce opisanej w książce. To przedsmak tego, co usłyszycie na spotkaniu autorskim z Danielem Wyszogrodzkim już w najbliższy czwartek, 22 lipca, w Muzeum Pragi.

Daniel Wyszogrodzki: Pierwszą płytą jaką... którą opisuję w tej książce była płyta z „Błękitną rapsodią” i z „Amerykaninem w Paryżu” Gershwin. Kupił ją mój ojciec, który kojarzył te utwory, bo ja nie, w Empiku, w Juniorze. I to był taki trochę ewenement, dlatego że pierwsza płytą, jaką kupiłem, była płytą Polskich Nagrań, ale z licencji Columbia, amerykańskiej, bo były to nagrania Leona Bernsteina i filharmoników nowojorskich. I tak to jest z tymi pierwszymi płytami, zna się je na pamięć, bo się ich słucha tam tych pierwszych 500 razy. I ja właśnie mi się wydawało, że ja mogę zagrać już tą „Błękitną rapsodią”, bo pamiętałem wszystkie niuansy. A potem z jakiegoś powodu, o czym też wspominam w książce, mój ojciec zaczął kompletować symfonie Beethovena. On nie był ani koneserem, ani nie miał w sobie żadnej pasji do zbierania, kolekcjonowania płyt. Był zajęтым lekarzem. Nie mieszkaliśmy zresztą razem, ja bywałem u niego w weekendy. I uzbierał tych dziesięć symfonii już w polskich wykonaniach. I ja... to były moje pierwsze nagrania.

- A ile pan miał lat?

Daniel Wyszogrodzki: To była jakaś moja 6-7 klasa, mniej więcej podstawówki.

- No to podejrzewam, że koledzy słuchali wtedy czego innego.

Daniel Wyszogrodzki: Koledzy... ale ja też z kolegami słuchałem czego innego, tylko nie miałem do tego żadnego klucza. Ja opisuję w książce taką historię, kiedy zachowałem się w dwóch piosenkach. Nie wiedziałem kto gra, co gra, strasznie mi się podobały, to było na koloniach gdzieś. I puszczano je z pocztówek dźwiękowych. I ja w końcu dotarłem do źródła i zorientowałem się, że jest to zespół The Beatles, to mi nie wiele nie mówiło. A te piosenki to były „Girl” i „Michelle”, takie dwie liryczne bardzo, sentymentalne piosenki, które mnie wzruszały. I potem odbyłem, opisaną też w książce samodzielną, pierwszą, na Bazar

Różyckiego, czyli tutaj. I muszę przyznać, że bardzo szybko się dogadałem ze sprzedającą panią, ona bardzo szybko się zorientowała, czego ja szukam. Zapamiętałem, że tak zabawnie wymawiała ten tytuł, bo mówiła „Gę”, „Gę”. Jest „Gę” dla kawalera zaraz poszukamy. I kupiłem tę pocztówkę tutaj. I dopiero jak wracałem tramwajem z Targowej, bo mieszkałem na Placu Leńskiego, tak jak w tytule książki. Jak wracałem tramwajem tutaj koło Czterech Śpiących i koło kościoła i tam do ZOO do mojego przystanku, to się zorientowałem, że nie mam jej na czym odtworzyć. No bo nie było tego w domu, tu ja mieszkałem z dziadkami na Placu Leńskiego. Ale kolega miał Bambino w domu i też posłuchaliśmy tej, tej pocztówki jakies tam pierwsze 200 razy razem. A potem mój ojciec dostał, dostał w pracy jako jakąś nagrodę, gramofon Mr Hit. I ja słuchałem płyt, kiedy jeździłem do niego na Saską Kępę, bo ojciec mieszkał na Zwycięzców, na weekendy. Też nie wszystkie, bo miał czasami dyżury. I w końcu ojciec chyba po roku, tam trochę tych płyt przybyło, niezbyt wiele, był ten Gershwin, był Beethoven. Jedno z takich pierwszych, też dla mnie bardzo takich ważnych w kształtowaniu mojego gustu i wrażliwości muzycznych, była płyta, na której polscy aktorzy śpiewali piosenki Bułata Okudźawy. To była bardzo popularna płyta wtedy, Bułata Okudźawy. W świetnych przekładach. Tam śpiewał Młynarski, Edmund Fetting, tam było tłumaczenie Agnieszki Osieckiej. Sława Przybylska oczywiście, była jedna piosenka w oryginalnym wykonaniu. I chyba gdzieś po roku mój ojciec się poddał, powiedział weź sobie ten gramofon i te płyty, ja tutaj przywiozłem do dziadków. I już wtedy miałem ten gramofon. I no a potem, już w ósmej klasie, kiedy byłem dużym chłopcem, wymyśliłem taki... sam wymyśliłem taki proceder poszerzania płytoteki, a w zasadzie wiedzy muzycznej, bo płytoteka mi się nie rozrastała, ale wiedza owszem, bo odkryłem na Mariensztacie giełdę płytową. To znaczy taki właściwie bazarek tam był, pchli targ na Mariensztacie, gdzie chodziłem na piechotę zawsze przez most, bardzo to lubiłem. I ponieważ te płyty były horrendalnie drogie, płyty zagraniczne mówię, [...] kosztowały 400, 500, 600 zł, kiedy ja miałem stówę zaskórniaków miesięcznie na wszystko, z komunikacją włącznie. Więc to było nieosiągalne zupełnie. Ale jak już uzbierałem tam jakimś cudem, to jest w książce opisane, te pierwsze pieniądze, to stworzyłem taki system, w którym jechałem na Mariensztat, kupowałem płytę, słuchałem jej przez tydzień tak, że następny wykonawca by po prostu... następny...

- Odtwórca tak?

Daniel Wyszogrodzki: Odtwórca by zbladł, ale ona mi w głowie zostawała, po czym jechałem znowu na Mariensztat i starałem się sprzedać przynajmniej za tyle, za ile kupiłem. Taką płytę miałem przez tydzień, do następnej niedzieli. I próbowałem ją wtedy sprzedać i natychmiast kupić za te pieniądze coś podobnego. Czasami trochę straciłem, czasami coś tam zyskałem i tak się poszerzała moja wiedza, nie poszerzając mojej płytoteki, bo na to nie było wtedy żadnych szans. Pamiętam, że chyba ojciec jako lekarz zarabiał około 2000 a te płyty kosztowały tak jak mówię po 500 złotych no.

- Książka nosi tytuł Plac Leńskiego, czyli tak naprawdę Plac Hellera?

Daniel Wyszogrodzki: Dzisiaj tak. Ja się wychowałem przy Placu Leńskiego, na Placu Leńskiego. My mieszkaliśmy na trzecim piętrze, dwa piętra nad Restauracją pod niedźwiedziem. Ona była czynna do północy, był tam dancing, po dancingu były różne hocki klocki od podwórka, bo tam były... wychodzili panowie załatwiać sprawy, po męsku, pojedynki, sola tak zwane, solówki tam się wyzywali...

- A taki dancing z muzyką na żywo?

Daniel Wyszogrodzki: Tak. Pod Niedźwiedziem była muzyka na żywo. I grał tam zespół. Czasami go z kolegami już później obserwowaliśmy przez kraty. Nigdy w życiu nie byłem w tej restauracji nad którą mieszkalem. Nigdy. Nigdy tam nie zjadłem niczego.

- Ale to była taka kategoria speluna, czy raczej...

Daniel Wyszogrodzki: To raczej był kategoria lokal. Lokal to był. Tam przyjeżdżali taksówkarze z całej Warszawy, tam dochodziło właśnie do bójek, bo tam były różne sprzeczki, tam przyjeżdżała okoliczna... nie powiem, że finansiera wtedy, ale nie. To był raczej lokal. Ona miała status restauracji eleganckiej, był ogromny neon Pod niedźwiedziem w naszym domu. Nie znalazłem śladu tego neonu na zdjęciach w sieci. Nie udało mi się. Był neon z miśm brązowym, który wchodził do góry po drzewie zielonym, na załamaniu tego domu. Ja mieszkalem pod tym neonem Pod Niedźwiedziem, więc się popisywałem przed koleżankami, że ten niedźwiedź to ja oczywiście, bo to jest pode mną. I ta restauracja była bardzo popularna. Kiedyś znajomy, który przyjechał do nas powiedział, że wszedł do taksówki i zapytał taksówkarza, czy wie pan gdzie jest restauracja Pod Niedźwiedziem, na co taksówkarz odpowiedział za dobrze proszę pana, za dobrze. Ale, kontynuując ten temat, za filarami była

kawiarnia, nazywała się Filipinka i tam też się odbywały występy na żywo. Tam też przyjeżdżały zespoły. I my czasami już ich później słuchaliśmy siedząc na ławkach, bo było tak samo słychać na zewnątrz. Ale tam była kawiarnia, w której ja już później bywałem w liceum, bo tam się chodziło na kawę i na ciacho z kolegami, czy z koleżankami. Jak był brzydki dzień można było zamiast na spacer iść do Filipinki. W podstawówce nie chodziłem tam oczywiście sam, nie chodziłem sam do kawiarni wtedy jeszcze. Ale pomiędzy jedną, a drugą na rogu, tam oczywiście teraz są wszędzie Rossmanny i Biedronki. Ale, tam była cukiernia, ta cukiernia miała bardzo dobrą renomę, bardzo dobre wypieki. Tam się chodziło na pączka. Tam szczytem marzeń była... pączki kosztowały 2 zł, wuzetka kosztowała 5,40. To było ciastko, to było ciastko dla bogatych. Ja pamiętam, jak babcia kupowała wuzetkę, zabieraliśmy do domu, jedliśmy na pół. Ten plac Leńskiego tak mi się... jest bardzo żywy w mojej pamięci. On się staje w tej książce... on jest właśnie bohaterem tej książki też. I dlatego uważam, że fajnie, że wydawnictwo zgodziło się na ten tytuł. Może nie jest on zbyt marketingowy, ale bardzo dobrze oddaje ducha tej książki, w którym, w której Plac Leńskiego jest taką troszeczkę metaforą świata i taką busolą moją. Ja ten świat rozszerzam w każdą stronę. Tam jest ZOO, tam jest więzienie kobiece, tam się idzie do kolegi Trojana, który mieszka w blokach na Pradze 3, tu się idzie na Bazar Rózyckiego i do Czterech śpiących w tą stronę. Ja byłem takim dzieckiem eksplorującym otoczenie. To znaczy babcia mnie krótko trzymała i bardzo się o mnie martwiła, była nadopiekuńcza, ale ja się wymykałem spod tej kontroli. Oczywiście, że to był plac, ławeczki, małe dzieci, rowerek i tak dalej. A potem już rowery, koledzy. My generalnie... i takie jest wrażenie też kilku osób, które przeczytały moją książkę. Moja przyjaciółka, znajoma pisarka powiedziała boże, ile wyście wtedy chodzili. Myśmy wszędzie chodzili na piechotę. I to o co pani pyta, to ten plac mi się najpierw rozciągał do ulicy Namysłowskiej i do ZOO. Z dziadkiem chodziliśmy dookoła ZOO, do Parku Praskiego oczywiście. Potem się dowiedziałem, że jak byłem berbeciem to moja babcia z matką mojego przyjaciela woziły nas w wózkach do ZOO. Bo ZOO było bezpieczne, było tanie i było bezpiecznie. W Parku Praskim byli pijacy, zaczepiali i tak dalej. Mój ojciec przez cały ten czas i jeszcze bardzo długo potem, właściwie bardzo, bardzo długo pracował jako laryngolog w Szpitalu Praskim na IV piętrze. Ja tam bardzo lubiłem bywać, choćby z tego powodu, że był stamtąd cudowny widok na Stare Miasto. To było takie miejsce, gdzie można było pocztówki robić. Bo nie było tego budynku [Canaletto], który później wyrósł. Nic nie zasłaniało widoku, była tylko Trasa WZ, czyli ten wiadukt przed mostem, Park Praski z drugiej strony, rzeka i całe Stare Miasto jak na dłoni. Kiedykolwiek

miałem sprawy jakieś z ojcem, a co jakiś czas miewałem różne, to ja chodziłem przez ten park. A jak było ciemno, jak była zima czy coś, to mi zawsze zabraniano chodzić przez park z powrotem.

- Ale nie słuchał pan nie?

Daniel Wyszogrodzki: Ja nie słuchałem, natomiast oni też byli sprytniejsi, mówię o babci i ojcu, bo patrzyli przez okno, gdzie ja idę. Ale też ta Praga mi się nie kończyło na Namysłowskiej, dlatego że mama leży na cmentarzu Bródnowskim, tam jest grób mamy. I tam jeździliśmy regularnie, więc dla mnie to było takie rozszerzenie tej przestrzeni. Tutaj czasami się chodziło na Bazar Różyckiego po jakieś zakupy, więc to był kawałek z domu, można było podjechać tramwajem. No potem oczywiście ojciec Saska Kępa. Ja wiem, że mieszkańcy Saskiej Kępy nie lubią jak im się przypomina, że mieszkają na Pradze. Ale to była Praga Południe jednak, ta sama prawobrzeżna Warszawa.

- W tych czasach sport na Pradze był taki mocno rozwinięty, bo i Wyścig Pokoju i Stadion Dziesięciolecia, chłopcy byli wtedy zafascynowani sportem?

Daniel Wyszogrodzki: Nie, nie uczestniczyłem. Fascynowałem się sportem, ale oglądaliśmy Wyścig pokoju w telewizji, graliśmy w kapsle na Placu Leńskiego na otoczeniu fontanny, która jest do dzisiaj, na tych murkach, trudno się grało w kapsle, bo to było nierówne. Natomiast u nas było coś takiego, że ja chodziłem do szkoły podstawowej numer 258 na ulicy Bertolta Brechta. I niestety myśmy, myśmy – to znaczy ja i kilku moich przyjaciół, bohaterowie mojej książki, byliśmy tak zwanymi dziećmi z tak zwanych dobrych domów, otoczonymi jednak przez bardzo wtedy silne i szerokie środowisko gitowców, git ludzi. No tych takich praskich żuli mówiąc krótko. Których myśmy się trochę bali, trzeba było z nimi tam umieć żyć, żeby nie podpadać, żeby się dogadać i jakby to nas bardzo absorbowowało.

- Czy był jakiś sposób, po którym rozpoznawało się gitowca?

Daniel Wyszogrodzki: O tym za moment. Oczywiście. Natomiast wracając jeszcze, tylko zamykając temat sportu, jakby sport należał do nich. To znaczy kiedy grało się w piłkę na zajęciach z WF-u, to oni nas tam przeganiali, bo myśmy się nie nadawali do tego. Trzeba było być agresywnym, brutalnym, trzeba było tą piłkę znać. W ostateczności stawaliśmy na obronie,

albo na bramce, gdzie właściwie moja strategia obronna to była taka, żeby natychmiast schodzić z drogi atakującym git ludziom.

- Czyli byliście dopuszczani do wspólnego meczu, ale na zasadzie...

Daniel Wyszogrodzki: Sporadycznie, ale właśnie nie dość, żeby się nauczyć tej gry dobrze, że to jednak ten sport był. Ja pływałem wtedy, chodziłem na pływalnię, grałem świetnie później w ping ponga i to się jakby rozwijało wakacyjne, te sporty tak. Natomiast tutaj na Pradze ta strefa, ta sfera boiska, boiska, które istniały na Namysłowskiej przy... obok muru do więzienia kobiecego, które wtedy tam się znajdowało, tam dzisiaj są osiedla bardzo ładne, mieszkaniowe. To tam rzeczywiście trochę było się strach pokazać. Trzeba było znać tych ludzi, albo trzeba być po prostu dobrym. Ja myślę, że gdybyśmy my w tą piłkę umieli grać to i ci gitowcy by nas zaakceptowali, bo byśmy byli przydatni, a tak to byliśmy bezużyteczni. Ja tego trochę żałuję, właściwie do dzisiaj, że ten sport nas tak omijał, bo jakby sport to był nie dla nas, sport był dla nich. Myśmy czytali książki, chodzili do kina, jeździli na rowerach. Oni często nie mieli rowerów, natomiast mieli tą piłkę, grali w tą piłkę i nas przeganiali z boiska. Zapytała pani po czym się poznawało gitowców? Po tatuażach przede wszystkim. Kropka pod okiem git-człowiek, tak? Kropka między oczami świr. Kropki na rękach, te oznaczenia złodziei i tak dalej. Cała ta subkultura więzienna, którą oni przynosili do szkoły, ponieważ się wywodzili z takich domów. Tam większość osób siedziała po prostu, a oni byli też zabierani czy do poprawczaków ze szkoły, kiedy naprawdę popełniali jakieś wykroczenia, czy po prostu... i to była też taka trochę zmora tej mojej szkoły podstawowej. Oni dochodzili do pewnego wieku, to było wtedy 17 lat i byli zabierani do wojska, nie kończyli już tej szkoły podstawowej, natomiast oni mogli 17 lat na przykład skończyć w czwartej klasie podstawówki.

- Niesamowite.

Daniel Wyszogrodzki: Więc jak wtedy miałem 10, a facet, bo dla mnie to był facet, miał 17, no to on mnie mógł po prostu własnoręcznie zabić. Myśmy się ich trochę bali. Ale trzeba było z nimi żyć, czasami trzeba było się na jakąś alpage zrzucić z tych naszych skromnych kieszonkowych rzeczy. Ale też to opisuję dokładnie, bo był taki status, ja to tylko szybciotko dokończę, był w grypserce było pojęcie apropaka. Apropak to był taki właśnie, to można by dzisiaj powiedzieć dziecko z inteligenckiej rodziny. Czyli nie wróg, nie kapuś, absolutnie nikt taki, natomiast nie git-człowiek. Apropacy to byli ludzie, to się wzięło to z tej gwary więziennej,

to się wzięło od słowa a propos. Człowiek który mówił a propos z czasem awansował na apropaka i to był taki najlepszy możliwy status w szkole, bo to był taki status neutralny. Oni nas akceptowali, traktowali nas jak powietrze, czasami nas potrzebowali, czasami my tam pomagaliśmy im w czymś, ja już nie mówię w odrabianiu lekcji, bo oni tego kompletnie nie... kompletnie ich to nie interesowało. Apropak miał szansę być dla nich w najlepszym wypadku nie widzialnym i to był nasz szczyt marzeń.

- Książka jest bardzo gruba. Książka jest pełna wspomnień o pierwszych takich erotycznych pańskich doświadczeniach. No właśnie pytanie: czy pańskich, czy to jest autobiografia i tak ją należy odczytywać, czy to jest jednak trochę fikcji?

Daniel Wyszogrodzki: Znaczący ja unikam słowa autobiografia, bo z kilku powodów. Wrodzona nieskromność każe mi zadawać sobie pytanie kim ty jesteś, żeby pisać autobiografię i tutaj absolutnie oczywiście... natomiast napisać, że to jest pewna autobiograficzna powieść, w której fikcja się miesza z prawdą, byłoby chyba najbliżej prawdy. I to, że wydawnictwo zdecydowało się, żeby na okładce umieścić w takim anglosaskim stylu słowo powieść, jednak oddaje sens tej książki, który... znaczący formę tej książki, sposób narracji, tam są... ona ma swoich bohaterów, ma swoje wątki i tak dalej, tak dalej. Ona jest autobiograficzna o tyle, że ja się posiłkuję pamięcią, którą mam dosyć dobrą z tamtego okresu, o czym się przekonywałem nawet pisząc ją, że mi to wszystko wraca. No oczywiście, że jak mi wracają sytuację, no to ja odtwarzam dialogi, właściwie tworzę dialogi prawda? Bo to tego już się nie pamięta. Nigdy się nikt nie przyznał chyba do końca co tam było prawdą, a co fikcją. Jeżeli chodzi o te erotyczne rzeczy, o których piszę w miarę bezpruderyjnie jak myślę, dosyć szczerze, bo było to bardzo ważne, ten nasz rozwój... to było...

- U chłopców to jest coś absolutnie dominującego.

Daniel Wyszogrodzki: Tak, myśmy o tym na okrągło rozmawiali. Tamte wydzielano sobie jakieś zdjęcia pornograficzne, które właśnie przynieśli ci gitowcy i tam nam wydzielają za parę złotych, możecie sobie popatrzeć. Boże, jakie to było podniecające, to była ekscytacja. No i właśnie myśmy wtedy się głównie, to były nasze główne zainteresowania, to było co dziewczyny mają pod sukienką i co można, jakie płyty mają na Mariensztacie no. Muzyka i seks.